Rok 1935. 3 marca. Nr. 10.

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“
POD REDAKCJĄ ELI OLESKIEJ.

GROZA I POTĘGA LAWINY.

II.

Największe niebezpieczeństwo ze strony lawin grozi wówczas, gdy na warstwę śniegu starego, zmarzniętego na powierzchni, napada obficie śnieg świeży, sypki. I znowu wtedy wystarczy najlżejsze wstrząśnienie powietrza, spowodowane choćby tylko silniejszym krzykiem, wystarczy n. p. przekrajanie brzegu lawiny nartą przez niedość ostrożnego narciarza, aby ta masa puchu śniegowego zaczęła się zsuwać po gładkim pokładzie. Zaczyna się to usuwanie z początku wolno, urywkowo, następnie lawina porywa z sobą swoje twarde podłoże; w miarę ruchu jednostajna dotychczas powierzchnia śniegu kłębi się, pęka, nadyma i pędem swoim powoduje obsuwanie się coraz to nowych, dalszych części. Szybkość takiego zsuwającego się śniegu jest przerażająca.

Szczególnie straszne zdarzają się takie lawiny w najwyższych w Europie górach — Alpach, gdzie równocześnie z osuwaniem się lawiny powstaje huragan, potworna trąba powietrzna, która unosi w górę olbrzymie chmury śniegu, łamie drzewa, wstrząsa skałami, a powietrze napełnia przerażającym, trudnym do opisania rykiem i hukiem. Odgłos tej burzy odbija się od góry do góry, huczą powtarzające się echa, lecą w dół porwane kamienie, krzaki, całe lasy, łąki, pastwiska — aż wreszcie wszystko się ucisza. Lawina legła w dole już bezsilna, pozostawiwszy za sobą, na przestrzeni 2 — 3 mil, potworny ślad zniszczenia. Jeszcze przez chwilę las drży od ostatnich podmuchów trąby, a łożyskiem, które sobie wyżłobiła lawina, staczają się ostatnie, opóźnione bałwany śnieżne.

Najpotężniejsze wrażenie sprawia to wspaniałe zjawisko przyrody, jeśli je można oglądać z jakiejś bezpiecznej doliny. Widzi się wtedy dokładnie, jak taki niby potok śnieżny z każdą chwilą rozszerza się, rośnie, przybiera na sile, pędzi, kłębi się, rozdziela na ramiona, znowu łączy w jedno i staje się potworną iskrzącą rzeką śnieżną, szybką, jak strzała, wysoką jak dom. Sąsiednie lasy gną się pod uderzeniami huraganu, który wznieca szaloną zamieć ze śniegu i niesie ją na kilkaset kroków w lewo i w prawo. Trąba powietrzna rozbija się po stokach gór, obtłukuje się po dolinach, wstrząsa domami, unosi kominy, łamie lub z korzeniami wyrywa najstarsze nawet drzewa, których często naliczyć można potem do tysiąca i więcej. Porywa ludzi, zwierzęta i miota nimi w doliny, gdzie wywraca obładowane wozy, burzy pasterskie szałasy z bydłem i paszą. To straszne poruszenie powietrza odbywa się jednak tylko w ograniczonej szerokości; poza tą strefą objętą huraganem trąby, nie drgnie nawet gałązka na drzewie.

Lawiny takie pogrążają całe wioski w ciemnościach, a mieszkańcy zagrzebani pod olbrzymią masą śniegu, nie mogąc się z pod niego wydostać, giną niekiedy masowo z uduszenia. Czasem znowu trąba uniesie w powietrze chatę niby jakiś leciuchny domek z kart, a ludzie wygrzebują się zupełnie

cali ze śniegu, gdzie ich rzucił pęd wichru. Bywały wypadki, że całe szałasy wypełnione sianem, znajdywano o jakie 500 kroków dalej, po drugiej stronie doliny — wcale nie uszkodzone, mimo upadku. Łatwo zrozumieć, że wszelkie zwierzęta, które się dostaną w obręb takiej trąby, stają się jej igraszką,



żaden ptak nawet choćby w locie, nie zdoła wyrwać się z wiru, jaki ona wytwarza. Najmniej jeszcze padają ofiarami kozice, gdyż roztropne te zwierzęta umieją unikać miejsc niebezpiecznych w tych właśnie porach roku, kiedy grożą lawiny.

E.

Zajmująca historja wydry.

(Ciąg dalszy)

W rzece przyłączył się do naszych znajomych brat młodej wydry, potem siostra, a u tamy znalazł się także i ojciec, tak, że cała rodzina była razem: Pozostawali tak przez kilka dni, w dzień przeważnie śpiąc w norze, w nocy zaś polując i pływając. Wtedy to nauczyły się młode najrozmaitszych, całemu ich rodowi właściwych podstępów i wybiegów, jak n. p. płynąć przeciw prądowi, co było bardzo wygodne, gdyż wtedy woda przechodziła gładko po sierści, nie sprawiając żadnego oporu w pływaniu.

W jednej norze nie pozostawało całe towarzystwo dłużej niż trzy dni, poczem przenosiło się do innych, dalszych, których zresztą wiele było przy brzegach rzeki. Największym jednak u nich podstępem był zwyczaj powracania z drogi własnemi śladami, tak, że prawie nigdy nie wchodziły one w wodę przy końcu jakiejś drogi, lecz zrobiwszy po swych własnych śladach parę kroków, wskakiwały z tego miejsca odrazu w wodę. W ten sposób myliły doskonale gończe psy, które końca drogi przebieżonej przez wydrę nigdy odszukać nie mogły.

Gdy stary ojciec dowiedział się o spotkaniu swego dziecka z ogromnym szczupakiem, zamyślił się głęboko i wydał przez zaciśnięte wargi złowrogi świst. Następnego już ranka, gdy na wschodzie zbladły gwiazdy, był ojciec wraz z rodziną w drodze do stawu; zaledwie zbliżył się do brzegu, skoczył natychmiast do wody. Dwa razy widziano go, jak wypływał na powierzchnię wody, dla zaczerpnięcia powietrza, aż gdy nakoniec poraz trzeci zanurzył się, ujrzały młode, że wkrótce potem między liśćmi wodnych lilij pokazały się na powierzchni bańki powietrza. Minęło jeszcze parę chwil, gdy nagle wzniosła się nad wodą głowa starego ojca. Zdawało się młodym, że ciągnie coś bardzo ciężkiego. Wiosłując pracowicie, dotarł wreszcie do brzegu i stanął na nim przedniemi nogami.

Trzymając w pysku, ciągnął on wielkiego szczupaka, który jeszcze w ostatniej walce śmiertelnej rzucał się na wszystkie strony, kłapiąc ostremi zębami. Położył go spokojnie na ziemi, wysunął całkiem z wody swój łukowaty grzbiet i zaczął, trzymając głowę nieżywej już ryby przedniemi nogami, zajadać swą zdobycz. Z ogromnego szczupaka pozostało zaledwie parę większych ości i kawałki pletw. Następnie ziewnął stary samiec, zadowolony z tak wspaniałej biesiady, pokazując trzy tuziny białych, zdrowych zębów w doskonale przystających szczękach, z których nawet oślizgły węgorz nie zdołałby ujść, gdyby się raz pomiędzy nie dostał.

Przeszło lato; w jesieni przenieśli się rodzice z rzeki znowu do stawu, ale już sami, bez dzieci. Jednakże nie długo tu zostali, powędrowali bowiem w dół rzeki, ku morzu. Zachciało im się teraz raków morskich i różnych innych krabów, nie pomijając też i delikatnych łososi.

Młody, niedoświadczony samczyk pozostał w stawie i łowił sobie dalej ryby, których jednak było coraz mniej. Wkrótce przyszły wielkie mrozy, staw zamarzł i gruba powłoka lodowa odcięła wydrę od wody. Z rybołóstwem musiał się pożegnać. lecz bieda nauczyła go pomysłowości. Polował teraz na króliki i pozbył się zupełnie trwogi, jaką dawniej zawsze uczuwał na lądzie; co więcej, zapuszczał się nawet do gospodarstw wiejskich. Pewnej ciemnej burzliwej nocy przyniósł pierwszą kaczkę z podwórza wieśniaka, a niezadługo potem i drugą.

(C. d. n.)

Tajemnica wyspy kauczukowej.

Opowiedział MARJAN WARTA.

(Ciąg dalszy).

— To ona, moja dobra niania, tyle mi już naopowiadała o swojej rodzinnej wyspie, że wraz z nią wzdycham do tego pięknego Borneo i pragnąłbym żyć w jego lasach.

Piastunka Wila powoli, cichutko na palcach zbliżając się do rozmawiających, otwarła oczy szeroko i w słuch cała zamieniona, przebiegała wzrokiem po obu panach i garbusku. Poczem nagle nachyliła się nad swym ulubieńcem i cała trzęsąc się pod wpływem radosnej nadziei, zapytała go szeptem:

— Co, Wilu... może tatuś chce się przenieść na Borneo?

Garbusek podniósł na nią swoje smutne oczy, w tej chwili dziwnie rozpogodzone, i wymownem spojrzeniem dał do zrozumienia, że odgadła treść prowadzonej rozmowy, w odpowiedzi zaś szepnął tylko jedno słowo:

— Może...

Tak wielka uciecha rozparła nagle pierś brunatnej kobiety, że nie mogła powstrzymać się od głośnego okrzyku. Gwałtownie rzuciła się na kolana przed swoim panem i używając najsłodszych wyrazów, na jakie zdobyć się mogła, zaklinała go, by dla szczęścia jedynaka porzucił Jawę, Malakkę i Molukki, a przeniósł się na Borneo.

— Już tam przynajmniej wulkany nie będą straszyły Wila — wołała, pewna, że się wkrótce znajdzie na przeciwnem wybrzeżu morza, w swoich stronach rodzinnych, do których tęskniła ciągle i które myśl jej z umiłowaniem upiększała, zamieniając dzikie puszcze na Borneo w jakiś kraj czarodziejski.

CZĘŚĆ DRUGA: W ojczyźnie Banki.

W kilka miesięcy później pan Robert Willington, sprzedawszy swoją posiadłość na wybrzeżu Malakki Anglikom, a pałacyk swój w Batawji wynająwszy Holendrowi, został dyrektorem wielkiego przedsiębiorstwa na wyspie Borneo. Nazywało się ono: „Plantacje kauczuku“, a należało do spółki kilkunastu przemysłowców i kupców angielskich.

Jednym z nich był pan Mersen, który słysząc, że jego przyjaciel Willington we własnych plantacjach umiał rządzić bardzo energicznie i skutkiem tego był postrachem robotników, uprosił go, by objął naczelne kierownictwo ich przedsiębiorstwa, dotychczasowy zarząd bowiem nie umiał sobie radzić z miejscową ludnością, wynajmowaną do pracy.

Ponieważ pan Willington zniechęcił się już do własnych plantacyj, które prześladowało nieszczęście, zgodził się więc chętnie na zaproszenie kolegi, aby chciał zarządzać cudzemi interesami.

Radość Wila i Banki nie miała granic, gdy nareszcie po wielu przygotowaniach wybrano się w podróż okrętem, który mając ich zawieść na Borneo, odbił od brzegów Jawy. Oprócz Banki, zabrał ojciec Wila z Batawji kilkoro ludzi z dotychczasowej służby. Nadto towarzyszył garbuskowi do nowej siedziby jeden z jego domowych nauczycieli, młody człowiek, nazwiskiem Edward Grey.

(C. d. n.)

Rozwiązanie figielków z nru 9.

I: Ostroga — Ostryga. II: Rów — Wór. III: Lin — Nil.